

Grzegorz W. Kołodko

Ekonomia i polityka konwersji złotego na euro

Decyzje polityczne dotyczące sfery ekonomicznej zawsze wymagają kompromisu, gdyż uwikłane są w sprzeczności interesów. Rzadko zdarza się tak, by brane pod uwagę jakieś rozwiązanie teoretyczne miało praktycznie wyłącznie dobre strony i całkowicie pozbawione było wad. Gdyby tak było, ekonomiści byłiby w ogóle niepotrzebni, gdyż nie istniałaby materia podlegająca analizom porównawczym albo mieliby zdanie o tyle łatwe, o ile proste wydaje się ocenianie, co pośród dobrego, nie obciążonego skazami, jest lepsze.

Rzeczywistość jest dalece bardziej skomplikowana, niejednokrotnie do tego stopnia, że nie dziwi, iż nawet najbardziej profesjonalne kręgi, racjonalne w swoich ocenach, nie są w stanie dojść do konsensusu. Jest to tym bardziej oczywiste, jeśli problem jest złożony, wielowątkowy, konfliktogenny, gdy wykracza poza granice jednego kraju i horyzont czasowy, który dominuje w polityce, a nade wszystko gdy sprzęgają się korzyści i straty. Szacowanie ich salda jest trudne i obciążone ryzykiem, ponieważ musi się opierać nie tylko na prawidłowych modelach ekonomicznych, lecz także polegać na przyjmowaniu rozmaitych założeń, z natury rzeczy dyskusyjnych.

Tak właśnie dzieje się z kwestią wspólnych, wielopaństwowych obszarów walutowych. Kilka z nich od lat funkcjonuje z powodzeniem. Co ciekawe, ma to miej-

sce w krajach biednych, niekiedy bardzo, jak w przypadku obszaru franka CAF (XOF), do którego należy 14 państw afrykańskich, czy skupiającego sześć krajów i dwa terytoria zależne dolara wschodniokaraibskiego (XCD) [Kołodko, 2011]. Najważniejszy wszakże obszar wspólnej waluty to strefa euro (EUR), które od 15 lat obowiązuje w niektórych – obecnie w 19 – krajach członkowskich Unii Europejskiej oraz w 11 krajach i terytoriach nienależących do UE. Ponadto waluty niektórych innych państw są mniej czy bardziej sztywno powiązane z euro. O ile inne strefy wspólnotawalutowe radzą sobie wcale dobrze, w obszarze euro piętrzą się poważne problemy. Nic dziwnego zatem, że pojawiają się również głosy – ostatnio coraz częściej w związku ze światowym kryzysem finansowym – wyrokujące upadek wspólnej europejskiej waluty [Brown, 2012] lub też nawołujące do jego kontrolowanej likwidacji i powrotu do walut narodowych [Hongbing, 2016; Kawalec i Pytlarczyk, 2016].

Z pewnością rzeczywistość strefy euro daleka jest od tego, co teoretycznie zakłada się w odniesieniu do tzw. optymalnego obszaru walutowego [Mundell, 1961] i nie od dziś wiadomo, że napięcia makroekonomiczne oraz słabości strukturalne i instytucjonalne wtedy, gdy rodziło się euro, były większe niż to przedstawiano [Mundell, 2000; Mundell, 2003; McKinnon, 2002]. Z pewnością też sytuacja nie jest tak dobra, jak to głoszą inni sugerując, że:

Idea, że euro „upadło”, jest niebezpiecznie naiwna. Euro radzi sobie dokładnie tak, jak jego protoplasta (...) przewidywał i planował jego zachowanie [Palast 2012].

W formułowanych ocenach i projekcjach daleki jestem od narodowej megalomanii w rodzaju kreślenia mrzonki „mocarstwa nad Wisłą” [Friedman, 2009] czy choćby tylko „europejskiej potęgi gospodarczej”. Nic takiego nam nie grozi i o ile tego rodzaju iluzje bardziej śmieszą niż irytują, to trzeba mieć świadomość, jak istotne jest współcześnie znaczenie Polski w geopolityce, zwłaszcza kontynentalnej. Bez wątpienia jest ono ważniejsze w kontekście polityki niż gospodarki, ale doprawdy sprzężenie tych dwu żywiołów jest silne jak nigdy dotąd. W takim też kontekście warto i trzeba spojrzeć na wyzwania, jakie stoją przed Polską w związku z euro. Podobne dylematy mają także niektóre inne kraje posocjalistyczne, a wraz z poszerzaniem Unii Europejskiej będzie ich więcej, tutaj jednak skupiamy się na szansach i zagrożeniach, jakie na tym polu rysują się przed Polską. Oczywiście, przyszłość jej gospodarki zależeć będzie od wielu innych czynników i ewentualna euroizacja, czyli wprowadzenie do obiegu euro, nie jest sprawą najważniejszą, ale z pewnością zasługującą na szczególną uwagę. A to dlatego, że działania na rzecz poprawy struktury gospodarczej, instytucjonalnego wzmocnienia, stabilności makroekonomicznej i prorozwojowej polityki gospodarczej mogą przynosić jeszcze lepsze efekty, jeśli będzie towarzyszyło im funkcjonowanie w ramach obszaru wspólnej waluty euro.

Światowe zawirowania i europejski dryf

Wiadomo, rzeczy dzieją się tak, jak się dzieją, ponieważ wiele dzieje się naraz. Nawarstwianie się kryzysowych zjawisk i procesów w gospodarce światowej i jej różnych regionach jest już tak znaczące, że o ile jeszcze niedawno ambicją bez

mała każdego luminarza nauk społecznych, a zwłaszcza ekonomicznych, był jakiś tekst o globalizacji i integracji europejskiej, to teraz wahadło wychyla się w drugą stronę i czeka nas wysyp publikacji o odwróceniu od globalizacji, izolacjonizmie i nacjonalizmach, protekcjonizmie, a w przypadku naszego kontynentu o perspektywie rozpadu Unii Europejskiej. Ani odwrócenie globalizacji, ani rozkład Unii nie są bynajmniej nieuchronne, ale jedno i drugie jest możliwe, co ma swoje oczywiste implikacje. Stąd też należy w nauce postawić kilka fundamentalnych pytań, a w polityce przyjąć parę założeń. Koszmar polega na tym, że znowu teoria nie nadąża z odpowiedziami dla praktyki i tym bardziej staje się ona ryzykowna, a niekiedy wręcz fatalnie błędna.

Po pierwsze, należy orzec, czy globalizacja zaiste się cofa albo nawet ustaje, czy też jest i będzie kontynuowana. Konstatacja ta dotyczy wielu krajów, obecnie włącznie z wciąż najważniejszą gospodarką USA, a to ze względu na zagrożenia związane z tym, co z pewnością przejdzie do literatury jako „Trumponomika”. Jeśli tylko część zapowiedzi nowego prezydenta USA, Donalda Trumpa, odnośnie do niekonwencjonalnej polityki gospodarczej będzie wprowadzana w życie – zwłaszcza praktyki protekcjonistyczne, łamanie porozumień o wolnym handlu i wycofywanie się wcześniej poczynionych ustaleń w zakresie polityki klimatycznej przeciwdziałającej nadmiernemu ocieplaniu – w dłuższej perspektywie zaszkodzi to nie tylko USA, lecz całej gospodarce światowej.

Pewności absolutnej nie ma, ale uważam, że pomimo nasilających się tendencji protekcjonistycznych oraz rozmaitych nacjonalizmów, nazywanych niekiedy gospodarczym patriotyzmem, globalizacja to proces nieodwracalny. A to ze względu na charakter współczesnego i przyszłego postępu technicznego, a nade wszystko

z powodu ponadnarodowego usieciowienia gospodarki i układu potężnych interesów transnarodowych korporacji. Jeśli tak, to nie wolno odwracać się od świata, tylko inteligentnie, czyli ekonomicznie maksymalizując własne korzyści i minimalizując nieuchronnie towarzyszące temu koszty, włączając się w ten nurt. Dotyczy to tak krajów wielkich, jak i w szczególności mniejszych, ponieważ to one przede wszystkim powinny rozwijać się w warunkach gospodarki otwartej. Co nader ciekawe – i dla wielu wciąż jakże zaskakujące – obecnie obrońcą otwarcia i swobodnego handlu oraz rzecznikiem globalizacji stają się Chiny, podczas gdy Stany Zjednoczone pod nową administracją mogą schodzić na pozycje przeciwstawne.

Po drugie, leżąc zwłaszcza tam gdzie Polska – w sercu Europy – trzeba wzmocnić naukową argumentację za sensownością daleko posuniętej integracji europejskiej i przyjąć założenie w polityce i strategii rozwoju, że kontynuacja tego procesu jest nie tylko pożądana, lecz i nieunikniona. Co więcej w przypadku średnich i małych krajów udział w regionalnej integracji, zwłaszcza w tak zaawansowanej formie jak Unia Europejska, to najlepszy sposób na dostosowanie się do wyzwań, czyli do szans i zagrożeń niesionych przez nieuchronną globalizację. Z tej obserwacji wynikają określone wnioski dla krajów pozaeuropejskich, uwikłanych w swoje próby regionalnych integracji.

Od destrukcji do konstrukcji

Oczywiście, jeśli ktoś twierdzi, że po przesileniu w obliczu narastającej ksenofobii i zaściankowości – od USA po Francję, od Wenezueli po Nigerię, od Wielkiej Brytanii po Turcję – globalizacja się załamała, jeśli ktoś uważa, że wskutek dryfu ostatnich kilku lat UE jest już w stanie nieuniknionego rozkładu, to stawia zupełnie inne pytania niż nas tu nurtujące. Ja szukam odpowiedzi na pytanie,

jak uciec do przodu, jak sprząc dylematy ekonomiczne i polityczne, aby od ryzyka destrukcji przejść do szansy konstrukcji czegoś lepszego.

O ile Polska nie ma praktycznie nic do zaoferowania światu i nie może wspomóc globalizacji bezpośrednio – wytwarzamy bowiem niespełna 0,9 proc. światowej produkcji, licząc zaledwie 0,5 proc. ludzkości – to na gruncie europejskim, być może paradoksalnie, nigdy nie mieliśmy tak wielkiej jak obecnie szansy wnieść swój twórczy wkład.

Jeśli naszą racją stanu jest troska o dynamiczny i potrójnie – gospodarczo, społecznie i ekologicznie – zrównoważony rozwój w warunkach pokojowej koegzystencji z otoczeniem, to Polska powinna przystąpić do obszaru wspólnej waluty euro. Tu nie chodzi o to, że mamy takie prawo i obowiązek wynikające z poparcia w narodowym referendum traktatu członkowskiego, ale o to, iż jest to dla nas, dla społeczeństwa i gospodarki, opłacalne. Od razu dodam, że per saldo, gdyż jak prawie zawsze potrzebny jest tu obiektywny rachunek kosztów i korzyści. I, oczywiście, nie bezwarunkowo.

Ekonomiści mają właściwą im cechę przykładania nadmiernej wagi do zagadnień gospodarczych. Cóż, to nasza domena, podczas gdy w rzeczywistości jakże często poświęca się interesy ekonomiczne na ołtarzu polityki, jakże często pozaekonomiczny brak rozsądku bierze górę nad gospodarczym pragmatyzmem. Tym bardziej o ten pragmatyzm warto zabiegać. Zacznijmy jednak od polityki.

Gdyby rząd Polski, mający zdecydowane poparcie prezydenta i większość w obu izbach parlamentu, w porozumieniu z Narodowym Bankiem Polskim, zgłosił gotowość rozpoczęcia prac nad przyjęciem euro, zmieniłoby to nie tylko europejską politykę. W sytuacji, gdy trwa strukturalny i instytucjonalny kryzys UE, gdy coraz bardziej wyraźnie rysuje się scenariusz „Europy dwóch prędkości”,

gdy górę wydaje się brać nowy nacjonalizm [Economist, 2016] zamiast nowego pragmatyzmu [Kolodko, 2014b; Bałtowski, 2016; Herman, 2016], wzmocnienie jednego z głównych ogniw procesu, jakim jest projekt wspólnej waluty europejskiej, miałby fundamentalne znaczenie dla integracji gospodarczej z wszystkimi tego konsekwencjami politycznymi i kulturowymi. I to nie tylko naszej, europejskiej, gdyż UE jest obserwowana z uwagą na całym świecie – od MERCOSUR w Ameryce Południowej do ASEAN w Azji Południowo-Wschodniej, od SADC na południu Afryki po ECOWAS na jej Zachodzie, od NAFTA do SAARC w Azji Południowej. Jeśli powiedzie się integracja w Europie, to nabierze ona impetu też w innych częściach świata, a regionalne procesy integracyjne to przecież znakomity sposób na dostosowywanie się do wyzwań globalizacji.

Przystąpienie Polski do euro miałoby szczególne znaczenie w obliczu opuszczania Unii Europejskiej przez Wielką Brytanię. Polska, będąc w euro, natychmiast przestaje być krajem peryferyjnym, a staje się ważkim elementem trzonu całej formacji, na równi z bogatszą Hiszpanią o podobnym potencjale ludnościowym oraz Holandią, która liczy mniej mieszkańców, ale za to jest wyraźnie bogatsza. Tak mogłoby być, tym bardziej że relatywnie słabnie pozycja Włoch, które nie potrafią uporać się ze swoją sekularną stagnacją. O ile odważne przystąpienie małej Litwy do wspólnej waluty dwa lata temu w niczym nie zmieniło kontynentalnej geopolityki, o tyle nasze doń wejście (najwcześniej byłoby to możliwe w 2020 roku) miałoby istotne znaczenie.

Podczas gdy Polska ma 38,5 miliona mieszkańców, a jej PKB liczone według parytetu siły nabywczej (PSN) wynosi nieco ponad 1,05 biliona USD, to Holandię zamieszkuje około 17 milionów osób i jej PKB wynosi 866 miliardów USD,

Hiszpanię 48,5 miliona osób z PKB 1,69 biliona USD. Dochód na mieszkańca w tych trzech krajach wynosi odpowiednio 27 700, 50 800 oraz 36 500 PSN USD.

Skoro wszak mowa o polityce, to jasne jest, że należy przy sposobności zaniechać iluzorycznych prób zastępowania weimarskiego trójkąta kwadratem wyszehradzkim i dać sobie spokój z mrzonkami o jakimś międzymorzu z Polską na czele. Polska nie ma być na czele, ale nie powinna też być na marginesie. Wejście Polski do euro i euro do Polski może w tym pomóc, o ile bowiem z naszym potencjałem niewiele znaczymy na świecie, to w Europie już tak. Będąc w euro znaczylibyśmy jeszcze więcej w Unii Europejskiej, a Unia z kolei więcej w światowej grze ekonomicznej i politycznej. To może być raz jeszcze ten przypadek, kiedy to ilość przechodzi w jakość.

Korzyści i koszty

Zapewne rozstrzygać będą argumenty polityczne, ale doprawdy ważniejsze powinny być te natury ekonomicznej. Nie opowiadałbym się za decyzją w tak ważnej sprawie, jak zastąpienie dotychczasowej narodowej waluty wspólnym pieniądzem europejskim, gdybym miał wątpliwości co do opłacalności tego przedsięwzięcia. Ale też nie forsowałbym takiego rozwiązania bez uprzedniego uzyskania dłań poparcia większości społeczeństwa, które dziś jest przeciwko. Da się ono wszakże przekonać racjonalną argumentacją dowodzącą, że byłoby to dla niego korzystne. Był już taki czas, mniej więcej dziesięć lat temu, kiedy zdecydowana większość Polaków opowiadała się za euro, jednakże wtedy polityka nie poszła za *vox populi*. Teraz nie powinna pójść wbrew niemu, lecz pozyskać w wyniku merytorycznej i uczciwej debaty stosowne wsparcie.

Abstrahuję tu od imperatywu stosownej zmiany w Konstytucji, bo gdyby w obecnej konfiguracji z taką inicjatywą wystąpił rząd Prawa i Sprawiedliwości,

to przecież łatwo zdobyłby niezbędne kwalifikowane kworum, ponieważ uzyskałby poparcie także części posłów zasiadających w ławach opozycji. Dotyczy to zwłaszcza tych, którzy nieustannie deklarują swoje poparcie dla gospodarki wolnorynkowej oraz integracji europejskiej. Co ciekawe, zdarzają się także w gronie apologetów gospodarki wolnorynkowej opinie odmienne. Jeden z nich uważa, że: *Wprowadzenie euro w Polsce wymagałoby znowelizowania polskiej konstytucji. Tymczasem polskie partie nie są w stanie zgodzić się nawet co do dnia tygodnia, czy pory roku* [Rzońca, 2017].

Największa korzyść polegałaby na wyeliminowaniu ryzyka walutowego w obszarze, w którym obroty rozliczane są w euro (i w walutach z nią w miarę sztywno powiązanych), a jest to około 70 procent naszego eksportu i importu. Wielu przedsiębiorców jest zdezorientowanych co do opłacalności rozmaitych przedsięwzięć, gdyż nie wie, jakie będą ich koszty i przychody na styku z zagranicą, a tym samym nie mają gwarancji co do swoich potencjalnych transakcji. Ta niepewność przenosi się do sfery inwestycji, bo skoro nie wiadomo, co będzie opłacalne w produkcji, to i nie wiadomo, jaka jest opłacalność projektów inwestycyjnych. Nieprzewidywalność kursu to jedna z przyczyn relatywnie niskiego poziomu wykorzystania mocy produkcyjnych, a w ślad za tym słabej dynamiki inwestycji bądź przejściowo nawet obniżania się ich poziomu bezwzględnego. Skoro to w sposób oczywisty szkodzi wzrostowi gospodarczemu, to wprowadzenie euro eliminowałoby ten czynnik.

Koniec końców, w ceny dóbr i usług, które kupujemy na rynku, wliczone są koszty transakcyjne wynikające z wymiany złotych na euro i z powrotem przy okazji eksportu i importu oraz turystyki zagranicznej. Z tego tytułu, jak można szacować, płacimy – w pierw jako produ-

cenci, a potem konsumenci – kilkanaście miliardów złotych więcej. To mniej więcej tyle, ile wydajemy z tytułu 2-3 punktów procentowych VAT. Łotyszom czy Słoweniom ten koszt (a zarazem łatwy przychód pośredników finansowych, banków i kantorów, skąd należy spodziewać się oporu przeciwko wprowadzenia euro) jest zaoszczędzony.

Wszystko to, przyczyniając się do większej międzynarodowej konkurencyjności polskich przedsiębiorstw w skali mikroekonomicznej oraz większej stabilności w skali makro, sprzyjałoby dynamizacji gospodarki, a w rezultacie bardziej odczuwalnej poprawie standardu życia ludności. Sądzę, że będąc w euro, w następnej dekadzie można by osiągać roczne tempo wzrostu PKB o około 0,5 proc. wyższe. To dużo, bo licząc procentem składanym, dałoby to w ciągu jednego pokolenia aż o 15 proc. więcej.

Nie wytrzymują krytyki kontrargumenty przeciwników euro, głoszących, że po przeliczeniu na nie naszych dochodów – a przeciętna płaca brutto wynosiłaby około 1200 euro w warunkach roku 2020 – spadną one realnie. Otóż zasadniczo nie, gdyż według tego samego wskaźnika przeliczone zostaną wszystkie ceny, w tym czynsze, a także podatki. Tak więc siła nabywcza dochodów – płacy, emerytury, stypendium, zasiłków, zysków – będzie analogiczna po konwergencji i przed. Tak, będą przypadki zaokrąglenia cen w górę, ale z jednej strony skalę tego zjawiska blokować będzie silna przecież pozycja konsumentów oraz konkurencja na rynku, a z drugiej zdarzać się będą również zaokrąglenia w dół. Natomiast z pewnością nie będzie to impulsem inflacyjnym, gdyż inflacja to proces wzrostu ogólnego poziomu cen, a w tym przypadku mielibyśmy do czynienia co najwyżej z krótkookresową frykcją.

Słabo także broni się argument, że mając własną walutę, łatwiej można stawiać czoła wpływom zewnętrznych

szoków. Bywa, że tak, ale bywa i tak, iż wahania kursów nie pomagają, a szkoda. Zanim w Polsce osłabienie złotego pomogło po uderzeniu fali światowego kryzysu gospodarczego w latach 2008-2009, to przewartościowanie złotego – a przypomnijmy, że w chwili szczytowania był wymieniany po około 3,20 za euro – pociągnęło za sobą serię bankructw nawet dobrze zarządzanych przedsiębiorstw. Przyczyniło się to do bez mała upadku zorientowanego na eksport przemysłu stoczninowego, a bynajmniej nie była to jedyna ofiara ulegania w praktyce dogmatowi o doskonałości systemu wolnego, całkowicie płynnego kursu walutowego. Później zdołowany kurs złotego 4,90 za euro przejściowo pomagał, ale wcześniej wyśrubowany kurs 3,20 na trwałe niszczył, eliminując z rynku wiele skądinąd dobrze zarządzanych przedsiębiorstw z wykwalifikowaną i zdyscyplinowaną załogą. Wahania od 3,20 do 4,90 złotych za euro to ogromna rozpiętość. Odczuwalnie, choć przy istotnie mniejszej amplitudzie, dały one o sobie znać także na przełomie lat 2016/17, między innymi w związku z zawirowaniami wokół wewnętrznej polityki nieekonomicznej w Polsce oraz zaskakującym wynikiem amerykańskich wyborów prezydenckich.

Nie trzeba chyba dodawać, że gdyby w Polsce euro było w obiegu od lat, podobnie jak w Słowenii, gdzie zostało wprowadzone w 2007 roku, nie byłoby kryzysu zadłużenia hipotecznego indeksowanego na waluty obce, czyli problemu tzw. frankowiczów.

Mniejszy ciężar długu

Przy euroizacji polskiej gospodarki kapitałne znaczenie miałyby odczuwalna redukcja długu publicznego i kosztów jego obsługi. Stan aktywów rezerwowych Polski wynosi równowartość blisko 110 miliardów euro, czyli mniej więcej jedną czwartą naszego dochodu narodowego liczonego w kategorii PKB. Do 39 proc.

polskich rezerw walutowych utrzymywanych jest w amerykańskim dolarze, do 29 proc. w euro. Pozostała część portfela ulokowana jest w innych walutach oraz względnie mała porcja w złocie.

Taki poziom aktywów rezerwowych Polski to dużo. I bardzo nieefektywnie, gdyż per saldo kosztuje nas to około 2 proc. PKB, co wynika ze zróżnicowania oprocentowania rezerw i długu publicznego. Innymi słowy, z jednej strony Polska ma ulokowane na bardzo niskim oprocentowaniu znaczne środki w zagranicznych papierach, głównie pewnych i stabilnych obligacjach finansujących deficyty budżetowe wiarygodnych rządów, od USA i Kanady poprzez Niemcy i Francję do Australii i Nowej Zelandii, z drugiej natomiast rząd emituje własne obligacje i sprzedaje je za granicą przy istotnie wyższym oprocentowaniu. To tak jakbyśmy pożyczali od kogoś własne pieniądze, tyle że przy wyższych odsetkach niż te, które ten ktoś nam wypłaca za to, że jemu pożyczyciśmy.

Idąc do euro, trzeba racjonalnie wykorzystać te rezerwy, a nie ma lepszego sposobu niż przeznaczenie znaczącej ich części – może nawet 75 proc. – na spłatę części zadłużenia zagranicznego. Oznaczałoby to zmniejszenie długu publicznego o jakieś 17 punktów, do około 35 proc. PKB. Znaleźlibyśmy się wówczas w lepszej klasie krajów, ponieważ notowania polskiej gospodarki poszłyby w górę, zarówno te oficjalne, wyrażone w formie ocen agencji ratingowych, jak i te realne, kształtujące się na rynkach finansowych.

Zdaję sobie sprawę, że długu w walutach obcych tak łatwo nie wykupimy, ponieważ rentowności naszych obligacji są bardzo atrakcyjne dla ich posiadaczy. Gdyby udało się to niekoniecznie w odniesieniu aż do równowartości 75 procent rezerw, to nawet połowa tego miałyby istotne znaczenie. Drugie tyle może pójść na specjalny fundusz narodowy (*sovereign welfare fund*) z troską o następne poko-

lenie, reszta zaś na opłacenie kapitału udziałowego w Europejskim Banku Centralnym i na minimalne rezerwy.

To byłaby zmiana jakościowa, która pociągnęłaby za sobą poprawę międzynarodowej pozycji finansowej Polski i przy okazji spadek stóp procentowych. Budżet zaś rok rocznie dźwigałby już jakościowo mniejszy ciężar długu publicznego. W 2017 roku budżetowy koszt obsługi długu publicznego w jego części zagranicznej to ponad 10 miliardów złotych (koszt obsługi długu krajowego to nieco ponad 20 miliardów). Zwiększa się on w porównaniu z rokiem 2016 o 2,7 proc. Od razu dodam, że ten zamysł spotka się z najostrejszym atakiem – i, oczywiście, nie wprost, ale poprzez używanie innych argumentów – ze strony rzeczników międzynarodowej finansjery, dla których o tyle korzystne, o ile dla polskich podatników kosztowne jest utrzymywanie z jednej strony tak dużych rezerw walutowych, z drugiej zaś niemałego długu zagranicznego; około jedna trzecia długu to zobowiązania wobec partnerów zagranicznych.

Decydujący kurs konwersji

Przyjmując, że cały czas spełniać będziemy kryteria konwergencji walutowej z Maastricht – tak jak nam to się wreszcie udaje, a czemu zagraża kontynuacja polityki obecnego rządu [Assessment, 2016] – najważniejsze jest to, po jakim kursie wymiany powinno być wprowadzone euro. Akurat dobrze się składa, że obecnie złoty jest słabszy; szacuję, że o 10-15 procent niedoszacowany. To dobry punkt startu do negocjacji kursu konwergencji, który powinien znaleźć się w przedziale 3,80-4,00 złote za euro. To bardzo ważne,

gdyż niedowartościowany kurs powoduje presję na import inflacji, zaś przewartościowanie złotego szkodzi eksportowi polskich przedsiębiorstw, a powinniśmy realizować strategię wzrostu ciągniętego przez eksport. Innymi słowy, eksport ma rosnąć szybciej niż import, a obie te kategorie szybciej niż PKB. Aby tak było, eksport musi się opłacać, ale i import nie może być zbyt drogi. Chodzi zatem o znalezienie kursu ekonomicznej równowagi i polityczne wynegocjowanie go wpięrow jako kursu referencyjnego, a potem ostatecznej konwersji.

Warto podkreślić, że wprowadzając Polskę do euro i euro do Polski, mielibyśmy do czynienia z odwróceniem tendencji. O ile bowiem obecnie wydają się dominować, także w niektórych kręgach profesjonalnych, oceny pesymistyczne, to wzmocnienie obszaru wspólnej waluty o najważniejszą spośród 11 gospodarek posocjalistycznej transformacji mogłoby dostarczyć trochę akcentów optymistycznych. Nie przeceniając roli oczekiwań, a już na pewno nie wywyższając ich ponad wymowę twardych faktów materialnych, to ma znaczenie.

Czy zatem iść do euro? Czy szanse na sukces, argumenty za, ekonomia i polityka całego przedsięwzięcia przemawiają na jego rzecz? Czy da się rozwiązać problem Grexitu?, bo musi być jasność w tej sprawie, zanim my się określimy [Galbraith, 2016; Kolodko, 2016]. Tak, choć trzeba być świadomym towarzyszącego temu ryzyka i olbrzymiego obszaru niepewności. Łatwiej wszakże jest wyjść obronną ręką z obecnego kryzysu z Polską w euro i euro w Polsce niż bez niej, a i Polska może na tym wyjść lepiej.

Bibliografia:

1. Assessment [2016], *Assessment of the 2016 Convergence Programme for Poland*, European Commission, Directorate General Economic and Financial Affairs, Brussels, May 26.
2. Bałtowski M. (red.) [2016], *Ekonomia przyszłości. Wokół nowego pragmatyzmu Grzegorza W. Kolodko*, Warszawa, Wydawnictwo Naukowe PWN.

3. Brown B. [2012], *Euro Crash: The Exit Route from Monetary Failure in Europe. The Exit Route from Monetary Failure in Europe*, Houndmills, Basingstoke, Hampshire, Palgrave-Macmillan.
4. Economist [2016], *Trump's World. The new nationalism*, "The Economist", November 19.
5. Friedman G. [2009], *Następne 100 lat. Prognoza na XXI wiek. Mocarstwo nad Wisłą?*, Warszawa, AMF PLUS Group.
6. Galbraith J.K. [2016], *Witamy w zatrutym kielichu. Grecki kryzys a przyszłość Europy*, Warszawa, Wydawnictwo Naukowe PWN.
7. Herman A. [2016], *Nowy pragmatyzm*, „Kwartalnik Nauk o Przedsiębiorstwie”, nr 1(38), s. 4-6.
8. Hongbing S. [2016], *Wojna o pieniądź 3. Epoka walczących królestw*, Wrocław, Wektory.
9. Kawalec S., Pytlarczyk E. [2016], *Paradoks euro. Jak wyjść z pułapki wspólnej waluty?*, Warszawa, Wydawnictwo Poltext.
10. Kolodko G.W. [2016], *How to Destroy a Country. The Economics and the Politics of the Greek Crisis*, "Rivista di Politica Economica", IV-VI (aprile/giugno).
11. Kolodko G.W. [2011], *Truth, Errors and Lies: Politics and Economics in a Volatile World*, New York, Columbia University Press.
12. Kolodko G.W. [2014 a], *Whither the World: The Political Economy of the Future*, Houndmills, Basingstoke, Hampshire, Palgrave-Macmillan.
13. Kolodko G.W. [2014 b], *The New Pragmatism, or economics and policy for the future*, "Acta Oeconomica", Vol. 64 (2), s. 139-160.
14. Kołodko G.W. [2017], *Czy Polska zbawi Europę?*, „Rzeczpospolita”, 3 stycznia.
15. McKinnon R. [2002], *Mundell, the Euro, and Optimal Currency Arrangements*, in: *Money, Markets, and Mobility: Celebrating the Ideas of Robert E. Mundell Nobel Laureate in Economic Sciences*, T.E. Courchene (ed.), Montreal & Kingston-London-Ithaca, McGill-Queen's University Press.
16. Mundell R.A. [1961], *A Theory of Optimum Currency Areas*, "The American Economic Review", Vol. 51, No. 4, s. 657-665.
17. Mundell R.A. [2000], *The International Financial Architecture. The Euro Zone And Its Enlargement In Eastern Europe*, Distinguished Lectures Series, No. 1 (March 7th 2000), Warsaw, Leon Koźmiński Academy of Entrepreneurship and Management (WSPiZ).
18. Mundell R.A. [2003], *The International Monetary System and the Case for a World Currency*, Distinguished Lectures Series, No. 12 (23 October 2003), Warsaw, Leon Koźmiński Academy of Entrepreneurship and Management (WSPiZ) and TIGER.
19. Nuti D.M. [2006], *Alternative Fiscal Rules for the New Member States*, in: *Euro Area Enlargement*, CESifo, Munich, 24 November.
20. Palast G. [2012], *Rober Mundell, evil genius of the euro*, "The Guardian", 26 June.
21. Podkaminer L. [2017], *Kto zbawi Europę?*, „Rzeczpospolita”, 7 stycznia.
22. Rzońca A. [2017], *Wprowadzenie euro jest nierealne*, „Rzeczpospolita”, 3 stycznia.
23. Stańczuk M. [2017], *Przyjęcie euro jest w interesie Polski*, „Rzeczpospolita”, 11 stycznia.

Prof. dr hab. **Grzegorz W. Kołodko**, Akademia Leona Koźmińskiego w Warszawie.